

Unijna alternatywa?

2 marca 2014

Kryzys zwykle zmusza rządzących do działania. Jeżeli chcą uniknąć reform uderzających w interesy stojące za przyczynami kryzysu, często sięgają po dwa poręczne narzędzia. Pierwsze to nacjonalizm, pozwalający skierować narastający gniew społeczny na obcych – dziś przede wszystkim imigrantów i muzułmanów, których obarcza się winą za nasze kłopoty. Drugie to geopolityka, pozwalająca zastąpić konieczne zmiany u siebie poprawianiem świata u innych. Od 2008 r. przywódcy najważniejszych krajów Unii Europejskiej dość konsekwentnie próbowali lub pozwalali różnym siłom skrajnej prawicy wypróbować wariant pierwszy. Od niedawna testują także skuteczność drugiego. Okazja nadarzyła się wraz z protestami na Ukrainie.

Rozkładająca się od środka i cierpiąca na ideologiczne wyjałowienie Unia poczuła wiatr w żagle. Nie mając zbyt wiele do zaoferowania swoim własnym obywatelom wykazuje się wielkim zaangażowaniem i retoryczną szczodrością wobec Ukraińców. Unijni liderzy i główne media odzyskali dawno utracony wigor i entuzjazm, gdy zapewniają, że nie możemy zostawić Ukrainy w objęciach Rosji, że musimy ją uratować i wprowadzić do wspólnej Europy obdarzając przy okazji nadzieją, demokracją... i kredytami. W Moskwie Putina Bruksela wreszcie znalazła obraz ciemnych sił, na tle których może zajaśnieć cnotami utraconymi w oczach jej obywateli. Oto jak projekt europejski zmartwychwstaje na kijowskim Majdanie.

Cała ta eurodemokratyczna wrzawa ma zatem przede wszystkim pomóc europejskim elitom odzyskać dobre samopoczucie nadszarpnięte przez kryzys. To zbiorowa terapia dla decydentów z Brukseli, Berlina, Frankfurtu, Paryża czy Warszawy, a nie żadne wsparcie dla Ukrainy.

Jaką demokrację i suwerenność mają do zaoferowania kraje UE?

Krwawa okupacja Afganistanu, katastrofalna w skutkach interwencja w Libii, neokolonialne wyprawy do Mali i Republiki Środkowoafrykańskiej to nie są najlepsze referencje dla rzeczników demokracji na świecie. To samo można powiedzieć o tajnych katowniach CIA w Polsce, których istnienia bronią politycy dziś tak efektownie przejmujący się stanem wolności i praw człowieka na Ukrainie.

Wiarygodność Unii jako demokratycznej alternatywy dla Ukrainy jest bliska zeru. Ostatnie lata i zarządzanie kryzysem tylko wyostrzyły problem deficytów demokratycznych UE, które są wpisane w samo serce projektu europejskiego i od czasu traktatów z Maastricht znajdują potwierdzenie w kolejnych aktach ustanawiających unijny ład prawno-polityczny.

Od kilku lat sytuacja się pogarsza pod pretekstem zarządzania kryzysem. Samozwańcza władza Trojki narzuca memoranda społeczeństwom Grecji czy Portugalii. Brak kontroli demokratycznej nad władzą wykonawczą UE został właśnie utrwalony i spotęgowany przez Europejski Mechanizm Stabilizacyjny. Faktycznie EMS nie tylko odbiera suwerennym ludom krajów Unii możliwość kontrolowania czy choćby wpływania na politykę ekonomiczną, ale po prostu eliminuje coś takiego jak polityka ekonomiczna. O ile ta ostatnia byłaby dokonywaniem wyborów strategicznych w obliczu wyzwań chwili czy sprzeczności systemu, to EMS takiego wyboru zakazuje, dopuszczając tylko jeden rodzaj zarządzania gospodarką – nastawiony na obniżanie „kosztów pracy”, cięcia wydatków publicznych i zaciskanie pasa pracownikom. Innymi słowy wynosi neoliberalizm do rangi jedyne go źródła ustroju gospodarczego i gospodarczej praktyki krajów UE. Pomysły Erharda, Keynesa, Krugmana czy nie daj boże Marksa zostały ostatecznie i urzędowo uznane za niemożliwe, a wszelkie próby ich realizacji (jak podnoszenie deficytu, luzowanie ilościowe czy zwiększanie redystrybucji) zagrożone są dotkliwymi karami finansowymi.

Czy Unia memorandumów Trojki, EMS, reguł wydatkowych, pozbawionego władzy legislacyjnej parlamentu i realnej władzy

rojołów lobbystów otaczających niedemokratyczną Komisję Europejską może być alternatywą dla Ukrainy? Czy Unia kapitału, której przywódcy za plecami swoich obywateli negocjują Porozumienie Transatlantyckie, uznające priorytet zysków korporacji nad prawami i potrzebami społecznymi daje dobrą perspektywę dla ukraińskiej demokracji? Czy minister Sikorski, roztaczający wizję kredytów MFW, mających rozwiązać problemy ekonomiczne Kijowa, może być traktowany poważnie przez kogokolwiek kto wie cokolwiek o działaniach MFW? Czy były minister Adam Rotfeld może nie rozśmieszyć pomysłem uzdrowienia ukraińskiej gospodarki za pomocą wodomierzy?

Ci sami publicyści, którzy wylewają pomyje na protestujących w Bośni, Grecji czy Bułgarii, i ci sami politycy, którzy w Hamburgu wprowadzają stan wyjątkowy (po raz pierwszy od czasów III Rzeszy), by spacyfikować protesty społeczne przeciw neoliberalnym cięciom i rasistowskiej nagonce na imigrantów, stroją się w piórka bojowników kijowskich barykad. We wstępniakach wielkich gazet przemoc demonstrantów w Atenach, Londynie, Sarajewie czy Hamburgu jest niemal terroryzmem, ale w Kijowie zmienia się w coś w rodzaju „życiodajnego impulsu chuligaństwa”, z którym należy się solidaryzować. Już tylko te podwójne standardy wystarczą, by zdyskredytować intencje zachodnich mediów i polityków zaangażowanych w „walkę o ukraińską demokrację”.

Ukraińcy cierpią między fałszywymi przyjaciółmi demokracji z MFW i KE, a brakiem alternatywy na swojej scenie politycznej. Kolejnym ekipom rządzącym w Kijowie po 1990 r. brakowało legitymizacji. Do tego dochodzi wielkie prawdopodobieństwo, że liderzy Majdanu w chwilę po przejęciu władzy staną się kolejną inkarnacją wciąż tej samej elity. Owa delegitymizacja klasy politycznej przesądza o permanentnej niestabilności kolejnych rządów w Kijowie. Stanowi gwarancję trwałości wpływów oligarchicznego kapitału. Tłumaczy też brak zaufania tłumów okupujących Majdan do ich własnych przywódców. Komentatorzy nazywają to niedojrzałością polityczną. Ale być może właśnie w

niej jest więcej nadziei dla Ukrainy niż w syrenich śpiewach unijnych liderów.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)